

MAREK WAŁKUSKI

WAŁKOWANIE AMERYKI



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Ewelina Burska
Redakcja merytoryczna: Bartosz Oczko
Korekta językowa: M.T. Media
Skład: Aneta Rzyzińska
Projekt okładki: Jan Paluch

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock.
Tłumaczenia tekstów z języka angielskiego: Marek Wałkuski

Wydawnictwo HELION
ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl

ISBN: 978-83-246-6389-7

Copyright © Helion 2012

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Spis treści

Wątkowanie wstępne	11
Rozdział 1. Mój nowy dom	13
Rozdział 2. Dzieci wuja Sama	25
Greczny jak Amerykanin	25
„Call me George”	27
Superman społecznik	30
Wychowanie patriotyczne	34
Wyjątkowość Ameryki	39
Precz z Europą	41
Rozdział 3. Typowy Amerykanin	45
To jest kraj wścibskich ludzi	45
Amerykański Kowalski	46
Przeciętny Józek	48
Młody jak Amerykanin	49
Wymiary i kolory	50
Home, sweet home	52
Inteligentny jak Amerykanin	54
Życie na kredyt	56
W wolnym czasie	57
Kraj ludzi szczęśliwych	59

Rozdział 4. Amerykański tygiel etniczny	63
W jeden dzień dookoła świata	63
Międzynarodowe naleśniki dla białych Amerykanów	66
Polska już tu umarła	69
Ich bin American	71
Szanuj zieleń	72
Angielscy Amerykanie	74
Mafie, parafie i tulipany	76
Wpływowa mniejszość	78
Barack Obama — kuzyn Brada Pitta	80
Tylko dla Kubańczyków	82
Wojna futbolowa	84
Zbawienna imigracja	87
Rozdział 5. Trudne relacje rasowe	89
Droga przez Dixieland	89
Soul food z Latonyą i Tanishą	91
Rasy nie istnieją... A może istnieją?	95
Użyteczne podziały	96
Milionerzy pod palmami	98
Na straży czystości białej rasy	99
Seminole z Hollywood	101
Aligator z sosem musztardowym	105
Splącony dług?	108
W walce o równouprawnienie białych	110
Murzynów już tu nie ma	113
Rozdział 6. Raj dla bogów	115
Wiara w cenie	115
Zbawienie — 50% zniżki	116
Przyjdź do nas, przekłety grzeszniku	119
Spuścizna Kalwina	121
Jestem błogosławiony	123
Trudna droga do tolerancji	126
Wysoki mur	128
Halucynogenna herbata. Amen	131
Megakościół Solomona	133
239 wnuków	138
Religia a polityka	141
Akademia czarnoksiężników	143

Rozdział 7. Amerykańska wieża Babel	147
„Zwór” do naśladowania	147
American English	149
CR, czyli czasownikowanie rzeczowników	151
Do you speak yup'ik?	153
Angielski niejedno ma imię	154
Ponglish	156
Co ma państwo do języka	157
Don't speak Polish	160
Habla usted inglés?	161
Tylko angielski	163
Rozdział 8. Wolność gwarantowana	165
Obywatel pod ochroną	165
Prawo do obrażania	169
Prawo do nienawiści	172
Prawo do pokazywania	173
Rozdział 9. Sam się obronię	177
Prawo do strzelania	177
Boże, pobłogosław Amerykę... i nasze pistolety	184
Kto do kogo strzela i dlaczego	186
Broń dobra czy zła?	187
Broń dla obywatela, a nie dla wariata	190
Z karabinu w papieros	191
Kultura broni	193
Ideologia pistoletu	195
Rozdział 10. Country — dusza Ameryki	199
Pocałuj tyłek wieśniaka	199
Królestwo country	202
Wsi spokojna, wsi wesola	204
Rodzina, praca, bieda	208
Jezus za kierownicą	210
Patriotyzm	211
Polityka country	214

Rozdział 11. Za kierownicą	221
(k)Raj dla kierowców	221
Stany Zjednoczone Samochodowe	223
Sanktuarium pod chmurką	226
Na własnych kołach	230
Wolny jak kierowca	232
Uwaga! Dziecko na drodze	235
Nie dokuczać obywatelowi	237
Amerikanin za kierownicą	240
Moja droga asfaltowa	243
Przepisy są po to, by ich przestrzegać	247
Droga do przyszłości	251
Rozdział 12. Polska w Ameryce	255
Polish jokes	255
W poszukiwaniu śladów polskości	258
Viva Polonia	261
Cross czy Krzyżewski?	265
Brzeziński	267
Polski polityk w Waszyngtonie	271
Bo on nas nie szanuje	275
Rozdział 13. Jeszcze nie zginęła	281
Mocarstwo w tarapatkach	281
Krótką historia amerykańskiego defetyzmu	284
Świat za 20 lat	286
Gospodarka	288
Co w głowie, to w portfelu	291
Potęga militarna	294
Siła perswazji	296
Wyzwania	300
jest okej	306
Bibliografia	309

Rozdział 12.

Polska w Ameryce

POLISH JOKES

Pod koniec sierpnia 2002 r., czyli kilka miesięcy po przyjeździe do USA, oglądałem popularny program satyryczny telewizji NBC *Saturday Night Live*. W jednym ze skeczów młody aktor grał rolę dziennikarza, który przeprowadzał wywiad na temat rozpoczęcia roku szkolnego z pięćdziesięcioletnim Polakiem. Dziennikarz pytał rozmówcę, czy wakacyjne remonty zostały zakończone, czy szkoła jest dobrze przygotowana na przyjęcie dzieci i czy kadra pedagogiczna czeka już na nowe wyzwania. Po uzyskaniu odpowiedzi zakończył rozmowę słowami:

- Dziękuję bardzo, panie dyrektorze Stefański.
- Ależ ja nie jestem dyrektorem — skorygował zaskoczony mężczyzna.
- No to kim pan jest? — dopytywał dziennikarz.
- Jak to kim? Uczniem — padła odpowiedź.

Kiedy usłyszałem ten żart, uznałem, że muszę być przygotowany na to, że w Ameryce często będę się spotykał z *polish jokes*, czyli dowcipami o niezbyt rozgarniętych Polakach. Ku mojemu zaskoczeniu wcale nie słyszałem ich zbyt wielu. Poza rozmową z uczniem Stefańskim pamiętam jeszcze żart senatora Arlena Spectera, który w 2006 r. podczas spotkania działaczy Partii Republikańskiej w Nowym Jorku próbował rozbawić kolegów

opowieścią o wiecu wyborczym — ktoś z tłumu krzyknął, że jest Polakiem, na co on odpowiedział: „W takim razie będę mówił wolniej”. Gdy słowa Spectera zacytowała lokalna prasa, mieszkający w Pensylwanii Polacy nie zostawili na republikańskim polityku suchej nitki. Zaczęli publicznie krytykować senatora za brak wrażliwości oraz utrwalanie stereotypów i musiał on publicznie przeproszać za swoje zachowanie. Specter dzwonił też z wyrazami ubolewania do przywódców organizacji polonijnych, a w telewizji oświadczył, że słusznie dostał nauczkę i że już nigdy nie będzie opowiadał *polish jokes*. Pod koniec 2011 r. w „Saturday Night Live” pojawił się dowcip na temat polskiego pilota Tadeusza Wrony, który awaryjnie lądował na Okęciu, gdy zablokowało się podwozie boeinga 767. Popularny komik Seth Meyers żartował wtedy, że skoro kapitan był Polakiem, to pewnie zapomniał wypuścić podwozie i że prawdziwym bohaterstwem w polskim stylu byłoby lądowanie na lotnisku jachtem. I choć działająca w Nowym Jorku Fundacja Kościuszkowska wystosowała ostry protest do twórców programu, twierdząc, że żart Meyersa jest wyrazem uprzedzeń etnicznych, ja nie czułem się zbyt urażony, bo amerykańskie programy satyryczne często przekraczają granice poprawności politycznej, a pojawiające się w nich żarty dotyczą nie tylko imigrantów, ale też samych Amerykanów. Być może moja reakcja byłaby inna, gdybym częściej spotykał się z przejawami niechęci do Polaków i etnicznymi stereotypami. Ja jednak niczego takiego nie zauważyłem, choć wiem, że w przeszłości był to poważny problem.

Polscy imigranci nie mieli łatwego życia w Stanach Zjednoczonych. Antypolskie nastroje występowały w wielu rejonach USA przez dziesięciolecia, a wynikały zarówno z niechęci do imigrantów, jak i z uprzedzeń do katolików z Europy Wschodniej. Przez długi czas w obiegu były niewybredne, aczkolwiek często bardzo śmieszne dowcipy o Polakach, których przedstawiano jako zacofanych idiotów. W jednym z takich dowcipów Polak wchodzi do sklepu i zwraca się do sprzedawcy:

— Poproszę polską kielbasę.

Sprzedawca przygląda się klientowi i pyta:

— Czy pan jest Polakiem?

Klient jest wyraźnie oburzony:

— Tak, jestem Polakiem, ale proszę mi odpowiedzieć na parę pytań. Otóż: czy gdybym poprosił o włoską kielbasę, to zapytałby mnie pan, czy

jestem Włochem? Czy gdybym poprosił o niemiecką parówkę, to zapytałby mnie pan, czy jestem Niemcem? Czy gdybym chciał kupić koszerne hot doga, to zapytałby mnie pan, czy jestem Żydem? Niech Pan odpowie szczerze, zapytałby pan?

— No, muszę przyznać, że nie zapytałbym — odpowiada sprzedawca.

— A widzi pan — stwierdza z satysfakcją klient. — To może mi pan teraz z łaski swojej wyjaśni, dlaczego zapytał mnie pan, czy jestem Polakiem, gdy poprosiłem o polską kiełbasę.

— Bo to jest sklep z artykułami gospodarstwa domowego.

W innym popularnym dowcipie pada pytanie o to, jak pokonać polską kawalerię, a odpowiedź brzmi: „Wyłączyć karuzelę”. Kolejny przykład: w Polsce rozbił się helikopter. Dlaczego? Bo pilot był przeziębiony i postanowił wyłączyć wentylator. A dlaczego w Polsce nie ma lodu w kostkach? Bo zapomnieli przepisu. I wreszcie: co się stało z polską biblioteką? Ktoś ukradł książkę.

Źródło pochodzenia *polish jokes* jest trudne do ustalenia. Według jednej z teorii były one elementem faszystowskiej propagandy antypolskiej, a zostały sprowadzone do Ameryki w latach 30. i 40. XX w. przez imigrantów z Niemiec. Znany brytyjski socjolog, specjalista od humoru etnicznego, profesor Christie Davies, podważył jednak tę teorię, dowodząc, że dowcipy o Polakach pojawiły się w USA znacznie wcześniej. Zaczęto je opowiadać już na przełomie XIX i XX w. wraz z napływem do Ameryki pierwszej dużej fali imigrantów z Polski. Przybyszami byli wtedy polscy chłopi, którzy zajmowali niską pozycję społeczną, nie mieli wykształcenia, nie znali języka i chwytali się najprostszych prac fizycznych. Byli oni poszukiwani przez pracodawców, ale mieszkańcy miast, w których się osiedlali, nie witali ich z otwartymi ramionami.

Polacy często spotykali się z uprzedzeniami i byli obiektem dyskryminacji. Przez wielu Amerykanów postrzegani byli jako mało inteligentni i zaściankowi, przez co stawali się łatwym celem złośliwych żartów. Stereotyp głupiego Polaka, który długo funkcjonował w Ameryce, odbijał się na poczuciu wartości Polonii. Oto jak jeden z młodych Amerykanów polskiego pochodzenia skarżył się na forum internetowym: „Niedawno wspomniałem znajomym, że jestem z pochodzenia Polakiem, i od tego czasu non stop żartują sobie ze mnie i mojego kraju. Codziennie słyszę o polskiej kawalerii, która atakowała szablami niemieckie czołgi, o tym, że Polacy są głupi i nie potrafią niczego zrobić dobrze. Czasem mam ochotę zachować się po polsku

i kopnąć ich wszystkich w tyłek”. Tego typu skarg jest jednak coraz mniej, do czego przyczyniła się m.in. w dużym stopniu amerykańska poprawność polityczna, dzięki której dowcipy etniczne stały się mniej akceptowalne. Walkę ze stereotypami podjęli też mieszkający w Stanach Zjednoczonych Polacy. Już w latach 60. i 70. XX w. zaczęli głośno protestować przeciwko utrwalaniu przez media wizerunku Polaka idioty. W rezultacie dowcipy o Polakach stawały się coraz rzadsze. W przełamywaniu niekorzystnego stereotypu pomogła Polonii sympatia Amerykanów wobec ruchu „Solidarności”, wybór Jana Pawła II na papieża oraz rosnąca liczba ludzi sukcesu (aktorów, naukowców, polityków, sportowców i biznesmenów) o polsko brzmiących nazwiskach. Po atakach z 11 września 2001 r. środowiska opiniotwórcze w USA odnotowały fakt, że Polacy walczyli ramię w ramię z Amerykanami w Iraku i Afganistanie, co również poprawiło wizerunek Polski w Stanach Zjednoczonych.

W POSZUKIWANIU ŚLADÓW POLSKOŚCI

Jako Polak nigdy nie czułem się źle w Stanach Zjednoczonych. Nie spotykałem się z przejawami niechęci czy wyższości ze strony Amerykanów, zwykle miałem do czynienia z życzliwością i zainteresowaniem. Na amerykańskiej prowincji spotykałem ludzi, którzy nie mieli zielonego pojęcia, gdzie jest Polska. Niektórzy mylili Poland z Portland, a inni kojarzyli tylko, że nasz kraj leży gdzieś w Europie i że jest tam bardzo zimno. Zdarzały mi się jednak niespodzianki, jak wtedy, gdy w pewne sobotnie popołudnie wracałem z kolegą z wycieczki rowerowej znad Potomaku. Właśnie przejeżdżaliśmy przez mostek nad kanałem Chesapeake & Ohio, by dostać się do dzielnicy Georgetown, gdy zaczął nas czarnoskóry bezdomny, którego zaintrygował nasz dziwaczny język.

— Hej, skąd jesteście? — zawołał, po czym zaciągnął się papierosem.

— Z Polski — odpowiedziałem.

— Z Polski? A co tam słychać u Wałęsy? — zapytał.

Wyjaśniłem mu, że po obaleniu komunizmu Wałęsa został prezydentem, ale przegrał walkę o reelekcję i że teraz jeździ po świecie i wygłasza odczyty. Mój rozmówca ze zrozumieniem pokiwał głową.

— W obecnych czasach niełatwo o dobrych przywódców. Słyszałem, że jego następcą był lepszy. Ten postkomunista, jak mu tam... Kwasneski... Kwasznewsky?

Zanim się pożegnaliśmy, bezdomny wyjaśnił, że wychował się w Baltimore, gdzie poznał wielu Polaków, i że bardzo lubi polskie jedzenie — przede wszystkim kielbasę i gołąbki.

Kielbasa jest jedną z „wizytówek” naszego kraju w Stanach Zjednoczonych. Można ją kupić nie tylko w rejonach zamieszkałych przez Polaków, ale również w sieciach amerykańskich supermarketów, takich jak: Giant, Safeway, Food Lion czy Publix. Sprzedawana jest zwykle jako *polish sausage* albo *polska kalebasa*, w półkilogramowych paczkach w cenie 2 – 4 dolarów. Amerykańska wersja polskiej kielbasy produkowana jest z wołowiny, indyka, wieprzowiny albo jako mieszanka kilku rodzajów mięs. Amerykanie kupują kielbasę na grilla, dodają do kreolskiej jambalayi, a hot dogi z polskimi kielbaskami sprzedawane są w ulicznych budkach w Nowym Jorku. Po naprawdę dobrą kielbasę trzeba jednak udać się do polskich sklepów, które znajdują się nie tylko w Nowym Jorku czy Chicago, ale także w dziesiątkach innych amerykańskich miast. Odwiedzając te sklepy, często spotykałem Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy nie znali słowa po polsku, ale pamiętali potrawy przygotowywane przez ich mamy i babcie. Polskie jedzenie jest dla tych ludzi sentymentalnym wspomnieniem z czasów dzieciństwa. Na polskie restauracje w Stanach Zjednoczonych trafić jest trudniej, bo poza Chicago i Nowym Jorkiem jest ich niewiele. Na przykład w liczącej 5,5 miliona mieszkańców aglomeracji waszyngtońskiej znajdują się setki włoskich, francuskich czy hinduskich knajpek, a tylko jedna polska. Nazywa się Domku Cafe i poza bigosem, pierogami, kielbasą w kapuście oraz schabowym oferuje także węgierski gulasz, szwedzkie klopsiki, gruziński kawior i czeskie knedliki. Niedługo po przyjeździe do USA z radością stwierdziłem, że dużą popularnością cieszy się w tym kraju woda mineralna Poland Spring, którą można znaleźć w każdym sklepie spożywczym. Niestety, okazało się, że nie jest ona importowana z naszego kraju, a jej nazwa pochodzi od miasteczka Poland w stanie Maine, gdzie zlokalizowane są źródła wód mineralnych. Miejscowości o nazwie Poland znajdują się zresztą nie tylko w Maine, ale również w innych amerykańskich stanach — m.in. w Nowym Jorku, Indianie oraz Ohio.

Najwięcej jeśli chodzi o rozpowszechnienie polskości w Ameryce, zawiązujemy Tadeuszowi Kościuszce i Kazimierzowi Pułaskiemu, którzy odegrali istotną rolę w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Pułaski jest uważany za ojca amerykańskiej kawalerii, która przechyliła szalę zwycięstwa podczas wielu bitew. Pokonał Anglików pod Charleston, a szarża jego oddziałów uratowała życie Jerzemu Waszyngtonowi. Pierwszy prezydent USA stwierdził później, trochę na wyrost, że bez Pułaskiego Ameryka nie wygrałaby wojny z Brytyjczykami. Spore zasługi dla Stanów Zjednoczonych ma też Tadeusz Kościuszko. Zaprojektowane przez niego fortyfikacje pomogły Armii Kontynentalnej wygrać wiele starć, w tym bitwę pod Saratogą. W dowód uznania mianowano go generałem i zlecono mu budowę twierdzy West Point. Postać Kościuszki zafascynowała amerykańskiego dziennikarza polskiego pochodzenia Aleksa Storożyńskiego, który napisał książkę na jego temat zatytułowaną *Chłopski książę: Tadeusz Kościuszko i wiek rewolucji*.

Kościuszko i Pułaski są uważani za amerykańskich bohaterów narodowych. Jednym z pierwszych hołdów złożonych Pułaskiemu były hasło i odzew, które podczas wojny o niepodległość pomagały odróżnić przyjaciela od wroga. Na hasło „Pułaski” odpowiedź brzmiała „Polska”. Imieniem Pułaskiego i Kościuszki nazwano w USA setki ulic, dróg, mostów, skwerów, parków i miejscowości. W Savannah w Georgii, gdzie Pułaski odniósł śmiertelne rany, stoi fort jego imienia, który jest jedną z głównych atrakcji turystycznych, a pod pomnikiem Pułaskiego w centrum miasta zatrzymują się wycieczki. Kongres USA ustanowił rocznicę śmierci Kazimierza Pułaskiego, czyli 11 października, oficjalnym świętem państwowym. Tadeusz Kościuszko nie ma w USA swojego dnia, ale jego imieniem nazwano również wiele miejscowości, ulic i placów. Alex Storożyński twierdzi, że żadna inna postać historyczna nie ma w USA więcej pomników niż Kościuszko. Jeden z takich pomników stoi w Waszyngtonie na placu Lafayette, tuż obok Białego Domu. Z kolei budynek, w którym Kościuszko mieszkał podczas pobytu w Filadelfii, został uznany za narodowy zabytek Stanów Zjednoczonych i obecnie znajduje się tam muzeum Tadeusza Kościuszki.

Biorąc pod uwagę, jak wiele miejsc w USA nazwano imionami Kościuszki i Pułaskiego, można odnieść wrażenie, że Amerykanie w swojej historii powszechnie oddawali hołd polskim bohaterom. W rzeczywistości drogi, parki

oraz pomniki imienia Pułaskiego i Kościuszki powstawały najczęściej z inicjatywy mieszkających w USA Polaków, a wiedza przeciętnego Amerykanina na temat dwóch naszych dzielnych rodaków jest dość ograniczona. Dla Polonii miejsca te mają jednak duże znaczenie symboliczne i są powodem do dumy.

VIVA POLONIA

Zdecydowana większość z 10 milionów Amerykanów polskiego pochodzenia to potomkowie chłopów, którzy przybyli do Ameryki na przełomie XIX i XX w. Osiedlali się w ośrodkach przemysłowych, takich jak: Chicago, Nowy Jork, Buffalo, Detroit i Boston, gdzie tworzyli homogeniczne społeczności skupione wokół rzymskokatolickich kościołów. Polscy imigranci z tego okresu nie mieli pieniędzy na zakup ziemi, więc pracowali głównie jako niewykwalifikowani robotnicy w fabrykach, stoczniach, stalowniach i kopalniach. Wielu z nich planowało dorobić się w Ameryce i wrócić do kraju, by za oszczędzone pieniądze kupić gospodarstwa rolne. Pracowali więc całymi dniami za niskie stawki, odkładając każdego centa. Ich niewielkie wymagania i pracowitość sprawiały, że byli poszukiwani przez pracodawców, choć często spotykali się z niechęcią bardziej już „osiadłych” grup imigrantów oraz członków związków zawodowych. Mając poczucie tymczasowości, Polacy nie inwestowali w edukację swoich dzieci, co sprawiało, że w kolejnych pokoleniach utrzymywali status robotników. Choć ich dochody były porównywalne z dochodami innych grup etnicznych, wśród Polaków było mniej inżynierów, architektów, menedżerów i pozostałych specjalistów. Silnym spoiwem polskiej społeczności były natomiast język i religia. Nie przyłączali się do niemieckich czy irlandzkich parafii, ale budowali własne kościoły, przy których powstawały polskie szkoły, szpitale i sierocińce. W ten sposób tworzyli w Ameryce „małe Polski”.

Jednak z czasem związki polskich imigrantów z ojczyzną słabły. Przystawali nazywać siebie Polakami i zaczęli używać funkcjonującego do dziś określenia *Polish Americans*, czyli Amerykanie polskiego pochodzenia (dosł. polscy Amerykanie). I kiedy w 1918 r. powstało państwo polskie, niewielu zdecydowało się na powrót do kraju. Mimo apeli działającej w USA polonijnej

organizacji Związek Narodowy Polski (ang. *Polish National Alliance*) w ciągu pierwszych czterech lat po zakończeniu I wojny światowej tylko 100 tysięcy z 2,5 miliona członków polonijnej społeczności przeniosło się z powrotem do kraju. Część z nich przeżyła w ojczyźnie rozczarowanie i powtórnie wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, zniechęcając do powrotu innych. Gdy po ataku na Pearl Harbor Stany Zjednoczone przystąpiły do II wojny światowej, wstępowali do wojska i walczyli jako Amerykanie. Po konferencji w Jałcie, podczas której Stany Zjednoczone i Wielka Brytania uznały, że Polska pozostanie w strefie interesów Związku Radzieckiego, Amerykanie polskiego pochodzenia poczuli się zdradzeni. Utworzony 5 maja 1944 r. Kongres Polonii Amerykańskiej zorganizował kampanię przeciwko prezydentowi Franklinowi Rooseveltowi i próbował zmusić rząd USA, by wycofał się z porozumienia. Swoistą rekompensatą ze strony amerykańskich władz była zgoda na przyjęcie przez USA uciekinierów z bloku wschodniego, w tym ponad 120 tysięcy Polaków. W okresie zimnej wojny imigracja z Polski do Ameryki w zasadzie zamarła. Organizacje polonijne przyjęły antykomunistyczną postawę i *de facto* zerwały związki z PRL-em. Na początku lat 50. XX w. Kongres Polonii Amerykańskiej aktywnie lobbował na rzecz powołania komisji do spraw zbrodni katyńskiej, która w 1952 r. stwierdziła, że za masakrę odpowiedzialni byli Sowietci.

W drugiej połowie XX w. mieszkający w USA potomkowie Polaków zaczęli się wtapiać w amerykańskie społeczeństwo. W latach 50. i 60. tak jak pozostali Amerykanie przenieśli się na przedmieścia i stali się częścią amerykańskiej klasy średniej. Wielu Amerykanów polskiego pochodzenia mówiło mi, że gdy byli dziećmi, rodzice świadomie nie uczyli ich języka polskiego i odcinali od ojczystej kultury, by zwiększyć ich szanse na sukces w społeczeństwie amerykańskim. Proces asymilacji sprawił, że z przemysłowych miast wschodniego wybrzeża oraz środkowego zachodu zaczęły znikać polskie dzielnice, wyjątkiem pozostały w zasadzie tylko chicagowski Jackowo oraz nowojorski Greenpoint.

Polacy jako grupa odnieśli sukces w Stanach Zjednoczonych. Z wielu badań wynika, że ich dochody były porównywalne z dochodami amerykańskich Niemców czy Irlandczyków, a wyższe od dochodów większości protestantów. Ztracali jednak polską tożsamość, a ich związki z krajem przodków stawały się coraz słabsze. Nadal byli katolikami, ale nie mówili

już po polsku. Nosili polskie nazwiska, ale imiona mieli anglosaskie. W Boże Narodzenie śpiewali znane z dzieciństwa *Lulajże, Jezuniu*, ale na stole zamiast karpia stawiali pieczonego indyka. Większość nie określała już siebie mianem amerykańskich Polaków, tylko: Amerykanów polskiego pochodzenia. W 1980 r. tylko 5% mieszkańców USA przyznających się do polskich korzeni było urodzonych w Polsce.

Wybór papieża Polaka, zryw „Solidarności” i późniejsze wprowadzenie stanu wojennego wskrzesiły tożsamość Polonii. Amerykanie polskiego pochodzenia z dumą patrzyli na walkę rodaków z komunistycznym reżimem, angażowali się w pomoc dla niepodległościowej opozycji, a po 13 grudnia 1981 r. wywierali presję na administrację Reagana, by w zdecydowany sposób zareagowała na tłumienie demokratycznych dążeń Polaków. Okres ten przyniósł też falę nowej polskiej imigracji do USA. Uchwalona przez amerykański Kongres w 1980 r. Ustawa o uchodźcach (ang. *Refugee Act of 1980*) ułatwiała uzyskanie statutu uchodźcy, dzięki czemu po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce w USA mogło pozostać 30 tysięcy Polaków. Byli wśród nich nie tylko działacze opozycji, ale również dziennikarze, artyści i naukowcy. Jeszcze więcej Polaków przybyło do USA w latach 80. i 90. w ramach tzw. emigracji zarobkowej. Łącznie po 1980 r. legalne prawo pobytu w USA uzyskało 200 tysięcy Polaków, a około 250 tysięcy osiedliło się w Stanach Zjednoczonych nielegalnie. To dzięki nim ożyły polskie dzielnice w Chicago i Nowym Jorku, stając się przystanią dla przybyszów z Polski nieznających języka angielskiego i kultury Stanów Zjednoczonych. Na Jackowie i Greenpoincie nowi emigranci z Polski mieli wszystko, czego potrzebowali do życia — polskie kościoły, sklepy, restauracje, urzędy, banki, gazety, radio i telewizję. Dla tych, którzy przybyli do USA w latach 80., Ameryka stała się taką samą „pułapką” jak dla wcześniejszych pokoleń imigrantów. Ci, którzy odnieśli tu sukces, nie chcieli wracać do Polski, bo nie gwarantowała im ona takiej jakości życia jak Stany Zjednoczone. Z kolei ci, którym się nie udało, odkładali powrót do kraju, bo nie chcieli, by rodzina i znajomi zobaczyli, że ponieśli porażkę. Po latach nie mieli już do czego wracać i weterowali w polskich gettach albo aklimatyzowali się jakoś w Ameryce.

Według najnowszego spisu powszechnego 9,8 milionów Amerykanów, czyli 3,2% populacji USA, przyznaje się do polskich korzeni. Ich związki z Polską są jednak płytkie, a kulturowo ci ludzie są w stu procentach Amerykanami.

Polskimi sprawami żyje niewielu naszych rodaków z USA, czego wyznacznikiem jest choćby liczba głosujących w wyborach do polskiego parlamentu albo na prezydenta RP. W „najlepszych” latach liczba ta nie przekraczała 33 tysięcy, choć polskie paszporty ma około 400 tysięcy osób. Być może część z nich nie bierze udziału w głosowaniu, ponieważ przyjmując obywatelstwo amerykańskie, musiała wyrzec się lojalności wobec Polski. Zgodnie z amerykańskim prawem nie można bowiem zostać obywatelem USA bez złożenia następującego ślubowania:

Niniejszym oświadczam pod przysięgą, że absolutnie i całkowicie porzucam i wyrzekam się wszelkiej lojalności i wierności wobec obcego władcy, mocodawcy, kraju i państwa, którego do tej pory byłem poddanym lub obywatelem; że będę wspierał konstytucję Stanów Zjednoczonych Ameryki i broniał jej przed wrogami wewnętrznymi i zewnętrznymi; że będę dzierżył broń w imieniu Stanów Zjednoczonych, jeśli będzie tego wymagać prawo [...] i że podejmuję to zobowiązanie dobrowolnie, bez żadnych moralnych zastrzeżeń lub próby jego ominięcia. Tak mi dopomóż Bóg.

Z amerykańskiego spisu powszechnego wynika, że 630 tysięcy mieszkańców USA (0,2%) mówi w domu po polsku. Z tej grupy co trzeci mieszka w Chicago, a co czwarty w rejonie Nowego Jorku. Pozostali porozrzucani są po całych Stanach Zjednoczonych i nie tworzą żadnych większych społeczności. Liczba Amerykanów mówiących w domu po polsku spada w ciągu ostatnich 30 lat o 1/4, ale to samo zjawisko dotyczy także innych języków. Jeszcze szybciej od polskiego zanikają w USA włoski, niemiecki oraz jidysz. Jeśli w najbliższym czasie nie pojawi się kolejna fala imigracji znaną z Wisły, a na razie się na to nie zanoszą, to język polski w USA będzie stopniowo zanikał. Ale pamięć o własnych korzeniach przetrwa u Amerykanów polskiego pochodzenia, tak jak przetrwała u potomków chłopskich imigrantów sprzed ponad 100 lat. Bo choć ludzie ci nie mają pojęcia o tym, kto jest prezydentem Polski, a polską kielbasę znają wyłącznie w wersji amerykańskiej, to jednak starają się pamiętać, skąd pochodzą, zakładają polskie stowarzyszenia, tworzą muzea, zapisują dzieci do zespołów polskiego tańca ludowego i fundują stypendia dla utalentowanych Polonusów. Są dumni ze swoich korzeni, a dumę tę czerpią nie tylko z historii Polski, ale również z osiągnięć Amerykanów polskiego pochodzenia.

CROSS CZY KRZYŻEWSKI?

Przeciętnemu Polakowi nic nie mówią takie nazwiska, jak: Mike Krzyżewski, Pete Stenkowski, Mike Ditka, Betsy King czy Stan Musial. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych postacie te zna każdy, kto interesuje się sportem, czyli... niemal wszyscy Amerykanie. Krzyżewskiego, Stenkowskiego, Ditkę, King i Musiala łączy polskie pochodzenie oraz honorowe miejsce w niewielkim muzeum znajdującym się w miasteczku Hamtramck na przedmieściach Detroit w stanie Michigan. Muzeum nosi nazwę Narodowy Polsko-Amerykański Panteon Sław Sportu (ang. *National Polish-American Sports Hall of Fame*), a założyli je potomkowie polskich imigrantów, którzy stawiają sobie za cel upamiętnienie „nadzwyczajnych polskich osiągnięć w amerykańskim sporcie”. Wśród sportowców uhonorowanych w muzeum nie ma bohaterów Jackowa i Greenpointu, takich jak Andrzej Gołota czy Tomasz Adamek. Jest natomiast 120 zawodników i trenerów futbolu amerykańskiego, bejsbola, hokeja, koszykówki, golfa i innych dyscyplin, zarówno na poziomie pierwszoligowym, jak i uniwersyteckim. Co roku muzeum dopisuje do grona sław po kilku sportowców polskiego pochodzenia. W 1991 r. honorowe miejsce w panteonie polskich sław amerykańskiego sportu zajął jeden z najsłynniejszych amerykańskich szkoleniowców, trener drużyny koszykarskiej Uniwersytetu Duke, wspomniany wyżej Mike Krzyżewski.

Z polskiej perspektywy trudno pojąć, że trener drużyny uniwersyteckiej może być sławny na całą Amerykę. Warto więc sobie uświadomić, że Amerykanie są bardzo emocjonalnie związani ze swoimi uczelniami, na mecze drużyn uniwersyteckich przychodzi dziesiątki tysięcy widzów, a rozgrywki transmitują główne sportowe stacje telewizyjne. Sport uniwersytecki to wielki biznes, który przynosi uczelniom setki milionów dolarów. Znany jako „Trener K” Mike Krzyżewski trenuje drużynę Duke Blue Devils od 1980 r. W 2001 r. podpisał dożywotni kontrakt z Uniwersytetem Duke, wartości tej umowy nie ujawniono. Wiadomo natomiast, że kilka lat temu odrzucił ofertę klubu NBA Los Angeles Lakers, który to klub proponował mu 40 milionów dolarów za pięć lat pracy. Krzyżewski jest na swojej uczelni bohaterem. Jego imieniem nazwano boisko w głównej hali koszykówki oraz otwarty w 2008 r. nowoczesny kompleks treningowy. Trener K odebrał wiele nagród za swoje osiągnięcia, a w 2001 r. został uznany trenerem roku przez magazyn „Time” i telewizję CNN oraz sportowcem roku przez pismo „Sports Illustrated”.

Mike Krzyżewski urodził się w 1947 r. w Chicago w katolickiej rodzinie potomków polskich imigrantów. Jako dziecko niemal każde wakacje spędzał w Pensylwanii, gdzie mieszkali jego urodzeni w Polsce dziadkowie ze strony matki. Krzyżewski nie tylko nie wstydzi się polskich korzeni, ale jest z nich dumny. Opowiedział o tym podczas uroczystej ceremonii w Narodowym Polsko-Amerykańskim Panteonie Sław Sportu, do którego został przyjęty w 1991 r.:

— Kiedy mój ojciec wstąpił do wojska, by walczyć na froncie II wojny światowej, nie zarejestrował się pod swoim nazwiskiem, tylko zmienił je na Cross (*Krzyż*). Nie mam nic przeciwko zmianom nazwiska, jeśli są ku temu uzasadnione powody, ale w przypadku mojego ojca były one niewłaściwe. On zrobił to ze strachu. Nie można mieć do niego pretensji, bo obawiał się dyskryminacji. Mój ojciec zmarł w 1969 roku i na jego nagrobku na cmentarzu wojskowym znalazło się nazwisko Cross, ponieważ tak był zarejestrowany w armii. Bardzo mi się to nie podobało, ale nie mieliśmy pieniędzy, by postawić nową tablicę. Dopiero po latach zmieniliśmy na nagrobku nazwisko Cross na Krzyżewski”.

Słynny trener wyjaśnił, że honorowanie sportowców polskiego pochodzenia ma ogromne znaczenie dla ludzi takich jak on:

— Honorując sportowców polskiego pochodzenia, robimy coś, co sprawi, że historia mego ojca już się nie powtórzy, że zawsze będziemy odczuwać dumę, mówiąc, że jesteśmy polskiego pochodzenia, że będziemy stać bardziej wyprostowani.

Obecna Ameryka jest zupełnie inna od tej, w której żył ojciec trenera Krzyżewskiego. Potomkowie imigrantów nie ukrywają swoich korzeni. Wręcz przeciwnie. To jest część ich tożsamości. Niemal każdy Amerykanin, którego poznałem, wie, skąd przybyli jego rodzice, dziadkowie czy pradiadkowie. Wielu okazuje dumę ze swego pochodzenia, dotyczy to również potomków imigrantów z Polski. Przykładem jest słynna aktorka Gwyneth Paltrow, która występując w popularnym programie NBC *Who Do You Think You Are? (Jak myślisz, kim jesteś?)*, powiedziała, że odkryła, iż jej praprapradziadek nazywał się Palterowicz i był rabinem w położonej niedaleko Łomży miejscowości Nowogród. Polskie korzenie mają też współtwórca firmy Apple Steve Wozniak, aktorka Jane Krakowski i korespondent telewizji NBC akredytowany przy Pentagonie Jim Miklaszewski. Ci, którzy

interesują się polityką i oglądają telewizję MSNBC, wiedzą, kim jest popularna prezenterka tej stacji Mika Brzezinski. A jest ona córką najbardziej wpływowego Amerykanina polskiego pochodzenia, Zbigniewa Brzezińskiego, który swego czasu sprawował jedną z najwyższych funkcji państwowych w USA w sprawach polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. W latach 1977 – 1981 Brzeziński był doradcą prezydenta USA Jimmy'ego Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego.

BRZEZIŃSKI

Zbigniew Brzeziński urodził się w Warszawie w 1928 r. Jego ojciec był dyplomata i tuż przed wybuchem II wojny światowej został wysłany na placówkę do Kanady. Po wojnie jego rodzina nie wróciła już do Polski. Brzeziński ukończył prestiżowy kanadyjski uniwersytet McGill, po czym studiował na Harvardzie, gdzie uzyskał tytuł doktora. Jako profesor tej uczelni, wraz z pochodzącym z Niemiec Carlem Joachimem Friedrichem, rozszerzył naukową definicję totalitaryzmu i spopularyzował jej użycie w odniesieniu do Związku Radzieckiego. W latach 50. XX w. jako uznany politolog brał aktywny udział w toczącej się w USA debacie na temat amerykańskiej polityki zagranicznej. Choć sprzeciwiał się lansowanej przez republikanów konfrontacyjnej doktrynie wypierania ZSRR ze strefy jego wpływów, przez demokratów uważany był za jastrzębia, czyli zwolennika twardej polityki zagranicznej opartej na potęgze militarnej (przeciwieństwo gołębia). Brzeziński był nie tylko opiniotwórczym uczestnikiem dyskusji na temat amerykańskiej polityki zagranicznej, ale brał w niej aktywny udział. W 1960 r. należał do grupy doradców prezydenta Johna Kennedy'ego, w 1964 r. wspierał prezydenta Lyndona Johnsona, a w 1968 r. pracował w zespole do spraw międzynarodowych kandydata demokratów na prezydenta Huberta Humphreya. Brzeziński był jednym z pomysłodawców i twórców ufundowanej przez Davida Rockefellera Komisji Trójstronnej — organizacji skupiającej wpływowych polityków, biznesmenów, intelektualistów i naukowców z Ameryki Północnej, Europy oraz Azji i rejonu wokół Pacyfiku, która przez wyznawców teorii spiskowych uważana jest za rodzaj tajnego rządu kierującego losami świata. W skład komisji wchodzi obecnie prawie 500 osób, z czego 120

reprezentuje USA i Kanadę, 170 Europę i ponad 100 Japonię, Koreę Południową, Australię, Filipiny oraz inne kraje tego regionu. Amerykańskimi członkami komisji są m.in.: sekretarz skarbu Timothy Geithner, ambasador USA przy ONZ Susan Rice, były sekretarz stanu Condoleezza Rice i Madeleine Albright, prezes Banku Światowego Robert Zoelick, doradcy prezydenta USA do spraw gospodarczych Larry Summers i Paul Volcker i wielu innych wysokich rangą dyplomatów, przedstawicieli środowisk akademickich, biznesmenów, ekonomistów i polityków. Do Komisji Trójstronnej należał były prezydent USA Jimmy Carter, który został do niej zaproszony właśnie przez Zbigniewa Brzezińskiego.

Carter określał siebie mianem „pilnego ucznia” Zbigniewa Brzezińskiego i zaraz po objęciu urzędu prezydenta powierzył mu jedno z najważniejszych stanowisk w Białym Domu — doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Dzięki temu w latach 1977 – 1981 Brzeziński odgrywał kluczową rolę w amerykańskiej polityce zagranicznej. Był zwolennikiem twardej postawy wobec Związku Radzieckiego i wykorzystywania każdej okazji do osłabienia tego kraju. To on stał za amerykańską akcją szkolenia, finansowania i zbrojenia mudżahedinów w Afganistanie, którzy prowadzili walkę z wojskami radzieckimi. Kreml był przekonany, że Brzeziński przyłożył także rękę do wyboru Karola Wojtyły na papieża. Kiedy po śmierci Jana Pawła II zapytałem go o tę sprawę, Brzeziński zapewnił mnie z uśmiechem, że z wyborem papieża nie miał nic wspólnego. Jednym z bardziej interesujących aspektów działalności Zbigniewa Brzezińskiego w Białym Domu była jego rola w przeciwdziałaniu radzieckiej interwencji wojskowej w Polsce pod koniec 1980 r. Do dziś nie daje mi jednak spokoju pytanie, czy krótka notatka, jaką podyktował wtedy Carterowi, nie utwierdziła władz Związku Radzieckiego w przekonaniu, że Stany Zjednoczone są skłonne przymknąć oko na wprowadzenie stanu wojennego w Polsce.

Pod koniec 1980 r. Amerykanie wierzyli, że w Polsce może dojść do rozlewu krwi. Jak ujawnił w swojej książce o Ryszardzie Kuklińskim amerykański dziennikarz Benjamin Weiser, późną jesienią CIA alarmowała Biały Dom, że sytuacja w Polsce staje się tak napięta, że może dojść do rozwiązania siłowego, w tym: do sowieckiej inwazji. Niedługo potem zajmujący się w CIA oceną zagrożeń strategicznych Robert Gates (późniejszy minister obrony USA) ostrzegał, że sytuacja w Polsce jest nie do zaakceptowania dla ZSRR. O planach interwencji zbrojnej Układu Warszawskiego w Polsce informował

Amerykanów także pułkownik Ryszard Kukliński, który pisał m.in. o ogromnej presji, jakiej poddany był w tym czasie generał Wojciech Jaruzelski. 2 grudnia 1980 r. szef CIA Stansfield M. Turner przekazał prezydentowi Carterowi pilne memorandum, w którym stwierdził, że Sowieci szykują swoje oddziały do interwencji w Polsce, choć nie jest jasne, czy ostateczna decyzja już została podjęta. 4 grudnia Kukliński donosił, że do Polski ma wkroczyć 15 dywizji radzieckich, dwie czeskie i jedna niemiecka, i że przygotowania do inwazji zostały zakończone, a datę interwencji wyznaczono na poniedziałek 8 grudnia. Zbigniew Brzeziński zadzwonił wtedy do papieża Jana Pawła II z informacją o planach inwazji na Polskę, a jednocześnie przekonał prezydenta USA do podjęcia próby zapobieżenia wkroczeniu wojsk radzieckich. Po naradzie w Białym Domu Jimmy Carter publicznie ostrzegł Moskwę, że interwencja zbrojna w Polsce będzie miała „najpoważniejsze negatywne konsekwencje” w relacjach Wschodu z Zachodem, a szczególnie w stosunkach USA — ZSRR. Bardziej interesująca jest jednak prywatna notatka, którą w tym samym czasie Carter przesłał za pośrednictwem „gorącej linii” ówczesnemu radzieckiemu przywódcy Leonidowi Breżniewowi. Benjamin Weiser, który uzyskał dostęp do notatki, napisał, że przesłanie, którego autorem był Zbigniew Brzeziński, zawierało zapewnienie, że „USA nie zamierzają wykorzystywać sytuacji w Polsce i nie dążą do naruszenia pełnoprawnych interesów bezpieczeństwa (ang. *legitimate security interests*) Związku Radzieckiego w regionie”.

„Chciałbym Pana zapewnić, że jedynym naszym celem jest utrzymanie pokoju w Europie Środkowej — podkreślił Carter. — W tym kontekście polskie władze oraz naród polski powinny samodzielnie rozwiązać swoje wewnętrzne problemy. Jednocześnie chciałbym podkreślić, że nasze relacje zostaną poważnie zachwiane, jeśli do narzucenia rozwiązania narodowi polskiemu zostanie użyta siła”.

Innymi słowy, Stany Zjednoczone zapewniały Moskwę, że:

- 1) uznają Polskę za strefę wpływów Związku Radzieckiego;
- 2) opowiadają się za tym, by Polacy sami rozwiązali swoje problemy;
- 3) sprzeciwiają się interwencji zbrojnej.

Przygotowane przez Zbigniewa Brzezińskiego przesłanie do Breżniewa można rozumieć na różne sposoby. Możliwe jest jednak, że Moskwa zinterpretowała te słowa jako akceptację USA dla wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Za taką tezę przemawia fakt, że po ostrzeżeniu ze strony

Cartera Sowieci wycofali część oddziałów z rejonów przygranicznych, ale zwiększyli naciski na polskie władze, by same rozprawiły się z „Solidarnością”. W weekend poprzedzający planowaną interwencję generał Jaruzelski i ówczesny I sekretarz PZPR Stanisław Kania polecili do Moskwy i wrócili z przekonaniem, że stan wojenny będzie alternatywą dla radzieckiej inwazji. Rok później prezydent Ronald Reagan nie próbował zapobiec wprowadzeniu stanu wojennego, mimo że Biały Dom znał plany generała Jaruzelskiego z meldunków pułkownika Ryszarda Kuklińskiego. Jak ujawnił były zastępca dyrektora CIA Bobby Ray Inman, co najmniej 20 wysokich rangą przedstawicieli amerykańskiej administracji, w tym prezydent Ronald Reagan i jego doradcy, wiedziało o raportach Kuklińskiego. Amerykańska administracja podawała różne, zazwyczaj mało przekonujące wytłumaczenia bierności Reagana. Główny argument brzmiał, że Biały Dom nie znał daty wprowadzenia stanu wojennego. Co jednak stało na przeszkodzie, by Amerykanie ostrzegli Jaruzelskiego przed użyciem wojska przeciwko „Solidarności”, grożąc, że będzie to oznaczać poważne konsekwencje dla Polski — np. w postaci sankcji gospodarczych? Odpowiedzialny za sprawy Europy Wschodniej w radzie Bezpieczeństwa Narodowego za czasów Ronalda Reagana Richard Pipes tłumaczył bierność amerykańskiej administracji zamieszczeniem w Białym Domu związanym ze skandalem dotyczącym rzekomego przyjęcia łapówki przez ówczesnego doradcę prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego Richarda Allena. Podczas wywiadu, jakiego udzielił mi w grudniu 2011 r., przyznał jednak, że prezydent Ronald Reagan i wiceprezydent George H.W. Bush rzeczywiście mogli dojść do wniosku, iż stan wojenny był „mniejszym złem w stosunku do radzieckiej interwencji wojskowej”, i dlatego zachowali bierność. Sam profesor Zbigniew Brzeziński przekonywał mnie, że jedynym celem notatki, którą w 1980 r. Carter przesłał Breżniewowi, było powstrzymanie radzieckiej inwazji, bo nikt w Białym Domu nie wierzył wówczas, że wprowadzenie stanu wojennego w Polsce może się udać. Przy innej okazji Brzeziński przyznał jednak, że z punktu widzenia USA inwazja sowiecka byłaby czymś znacznie poważniejszym niż „rozwiązanie wewnętrzne” i wymagałaby od Stanów Zjednoczonych bezpośredniej reakcji, czego Waszyngton wolał uniknąć.

Na działalności Zbigniewa Brzezińskiego w Białym Domu cieniem położyła się nieudana operacja odbicia amerykańskich zakładników z ambasady USA w Teheranie. Misja amerykańskich sił specjalnych Delta Force

pod krytonimem Orli Szpon, której Brzeziński był zwolennikiem, zakończyła się śmiercią ośmiu amerykańskich komandosów, stratą sześciu śmigłowców oraz porzuceniem sprzętu wojskowego i dokumentów z informacjami wywiadowczymi. Fiasko operacji było gwoździem do trumny i tak już niepopularnego prezydenta Jimmy'ego Cartera, który pół roku później przegrał walkę o reelekcję. Mimo to po odejściu z Białego Domu Zbigniew Brzeziński nie usunął się w cień i zachował wpływową pozycję w Waszyngtonie. Został ekspertem opiniotwórczego ośrodka Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (ang. *Center for Strategic and International Studies* — CSIS) oraz profesorem na wydziale politologii Uniwersytetu Johns Hopkinsa (ang. *Johns Hopkins University*). Był także zapraszany do prac w komisjach i zespołach doradców zajmujących się kwestiami bezpieczeństwa narodowego powoływanych przez republikańskich prezydentów Ronalda Reagana i George'a H.W. Busha. Prestiż Brzezińskiego podnosiły wydawane przez niego książki na temat polityki międzynarodowej oraz udział w pracach Rady Stosunków Międzynarodowych (ang. *Council on Foreign Relations*). Zbigniew Brzeziński cały czas jest obecny w amerykańskich i światowych mediach. Jego opinie zasięgają najwybitniejsi dziennikarze piszący o polityce zagranicznej i bezpieczeństwie narodowym USA. Brzezińskiego zaprasza się do programów CNN, BBC oraz radia publicznego NPR, profesor pojawia się w porannym programie telewizji informacyjnej MSNBC, który współprowadzi jego córka Mika Brzezinski. Polscy prezydenci, premierzy i ministrowie spraw zagranicznych podczas wizyt w Waszyngtonie zawsze umawiają się z Brzezińskim na lunch. I słusznie, bo Zbigniew Brzeziński należy do najbardziej przenikliwych umysłów w Waszyngtonie i najbardziej poważanych specjalistów od polityki międzynarodowej w USA.

POLSKI POLITYK W WASZYNGTONIE

Był luty 2005 r. Prezydent Aleksander Kwaśniewski zakończył właśnie spotkanie z George'em W. Bushem w Białym Domu i wrócił do położonego po drugiej stronie Pennsylvania Avenue budynku Blair House, czyli oficjalnej gościnnej rezydencji prezydenta Stanów Zjednoczonych. Właśnie tam miał udzielić wywiadów trzem stacjom radiowym — RMF, Radiu Zet i Polskiemu

Radiu. Wraz z ówczesnym korespondentem RMF Grzegorzem Jasińskim i Piotrem Milewskim z Zetki przeprowadziliśmy szybkie losowanie kolejności. Wygrał Jasiński i to on jako pierwszy wszedł do sali Trumana, gdzie czekał już na niego prezydent w towarzystwie ambasadora RP w Waszyngtonie Przemysław Grudziński. Ja z Milewskim zostaliśmy w niewielkiej poczekalni. Wiedziałem, że mam jeszcze 10 minut, bo tyle czasu przypadało na każdego z nas. Jakież było moje zdziwienie, gdy po niespełna trzech minutach w drzwiach stanął Grzegorz z bardzo niewyraźną miną. „Pewnie zadał jakieś niewygodne pytanie i Kwaśniewski przerwał rozmowę” — pomyślałem. Podniosłem się z kanapy i ruszyłem w kierunku drzwi, mając nadzieję, że mimo incydentu z Jasińskim Kwaśniewski udzieli mi wywiadu. Zanim wyszedłem z poczekalni, zdążyłem jednak zapytać Grzegorza, co się stało. „Zasnął” — usłyszałem w odpowiedzi. Chwilę później zobaczyłem prezydenta RP z lekko przymrużonymi oczami, wygodnie rozpartego w zabytkowym fotelu ustawionym obok kominka, naprzeciwko ściany z portretem 33. prezydenta Stanów Zjednoczonych. By nie dopuścić do powtórki sytuacji, jaka spotkała korespondenta RMF, zacząłem rozmowę od najbardziej kontrowersyjnych tematów, czyli wojny w Iraku oraz wiz dla Polaków. Po drugim pytaniu Kwaśniewski się trochę zdenerwował, dzięki czemu się ożywił i udało mi się nagrać kilkanaście minut całkiem interesującej rozmowy. Kilka miesięcy później, przed opuszczeniem Waszyngtonu i wyjazdem do Polski, Grzegorz Jasiński puścił mi nagranie swego niecodziennego wywiadu. Na pierwsze pytanie Kwaśniewski udzielił odpowiedzi, choć mówił coraz wolniej i bardziej niewyraźnie. Po drugim pytaniu zapadła całkowita cisza, która trwała kilkanaście sekund, po czym rozległo się miarowe chrapanie. Refleksem, klasą i poczuciem humoru wykazał się wówczas ambasador Grudziński. „Może powinien pan, panie redaktorze, inaczej sformułować pytanie?” — zaproponował zaskoczonemu drzemką prezydenta Grzegorzowi.

Nie wiem, dlaczego Aleksander Kwaśniewski zasnął podczas wywiadu z korespondentem RMF. Przyczyn mogło być kilka — zmęczenie podróżą, zmiana strefy czasowej albo lampka koniaku na rozgrzewkę po półgodzinie spędzonej na mrozie przy okazji wywiadu dla Telewizji Polskiej. Niewykluczone jednak, że Kwaśniewski potraktował Blair House jako drugi dom i postanowił oddać się rozkoszom popołudniowej drzemki. Były prezydent RP miał powody, by czuć się w Waszyngtonie jak w domu, bo odwiedził

Biały Dom pięciokrotnie, co zdarzyło się niewielu światowym przywódcom. Największe wyróżnienie spotkało go w 2002 r., kiedy to złożył w Waszyngtonie wizytę państwową. Ówczesnego prezydenta Polski witano z najwyższymi honorami, a na oficjalną kolację nawet dziennikarze musieli założyć fraki. Było 21 salw armatnich, kompania reprezentacyjna i osobny program dla pierwszych dam. Taki przywilej spotyka co roku najwyżej jednego lub dwóch gości zagranicznych. Gdy w 2005 r. Kwaśniewski kończył drugą kadencję na stanowisku prezydenta, George W. Bush zaprosił go na pożegnalne spotkanie do Białego Domu, co nie jest standardową praktyką. Na tego rodzaju pożegnania przyjeżdżali do Waszyngtonu tylko nieliczni — np. premier Wielkiej Brytanii Tony Blair.

Z czego wynikało specjalne traktowanie polskiego prezydenta za czasów George'a W. Busha? Otóż Aleksander Kwaśniewski nadał wyraźnie proamerykański kierunek polskiej polityce zagranicznej, i to w czasach, kiedy nie było to dobrze widziane w Europie. To za prezydentury Kwaśniewskiego i rządów SLD Polska kupiła za 3,5 miliarda dolarów myśliwiec F-16, odrzucając oferty europejskich koncernów zbrojeniowych. Jeszcze ważniejsza dla George'a W. Busha była deklaracja poparcia przez Polskę i inne kraje Europy Środkowej i Wschodniej amerykańskiej polityki wobec Iraku. Dało to ówczesnemu prezydentowi USA mocny argument w sporze z demokratami, którzy oskarżali go, że inwazja na Irak spowoduje międzynarodową izolację Stanów Zjednoczonych. Poparcie Polski było wtedy Bushowi naprawdę potrzebne. Innym powodem szczególnego traktowania Kwaśniewskiego w Waszyngtonie były jego osobiste cechy, takie jak: bezpośredniość, dystans do samego siebie i łatwość nawiązywania kontaktów, w czym zresztą pomagała mu niezła znajomość angielskiego. Te same cechy odegrały również istotną rolę w kontaktach Aleksandra Kwaśniewskiego z amerykańskimi Żydami. Pamiętam jego spotkanie z przedstawicielami środowisk żydowskich na prestiżowym Uniwersytecie Georgetown, kiedy przez półtorej godziny opowiadał o tym, jak bardzo w Polsce zmienił się stosunek do Żydów i że stereotyp Polaka antysemity jest dawno nieaktualny. I choć w najbardziej drażliwej kwestii zwrotu majątków zagarniętych podczas II wojny światowej nie złożył żadnej wiążącej obietnicy, uczestnicy spotkania wyszli z sali zachwyceni.

Innym polskim politykiem, który dobrze wypada w Stanach Zjednoczonych, jest Radosław Sikorski. Zanim powrócił do kariery politycznej w Polsce, przez trzy lata pracował w waszyngtońskim ośrodku analitycznym American Enterprise Institute (AEI). Sikorski był w nim ekspertem i stał na czele działającej w ramach AEI organizacji Nowa Inicjatywa Atlantycka (ang. *New Atlantic Initiative*), której celem było pogłębienie współpracy Stanów Zjednoczonych z Europą. American Enterprise Institute ma konserwatywny charakter. Ośrodek ten stanowił zaplecze kadrowe rządu George'a W. Busha, do którego administracji weszło ponad 20 osób związanych z AEI, w tym tacy jastrzębie, jak: Dick Cheney, John Bolton czy Paul Wolfowitz. Praca w American Enterprise Institute dała Sikorskiemu okazję do nawiązania cennych kontaktów oraz nauczyła go amerykańskiego stylu uprawiania polityki, na który składa się profesjonalizm i doskonała umiejętność komunikacji.

Radosław Sikorski znakomicie wypada w czasie oficjalnych wizyt w Waszyngtonie — zarówno podczas rozmów w Departamencie Stanu, jak i w trakcie publicznych wystąpień. Nienaganny angielski z prestiżowym brytyjskim akcentem, swoboda i poczucie humoru zjednują mu życzliwość słuchaczy. Jako Polak niejednokrotnie odczuwałem dumę z poziomu, jaki reprezentuje polityk z mojego kraju. Ubolewałem jedynie nad tym, że w Polsce Sikorski wdaje się w słowne przepychanki z opozycją, a co gorsza czasami przenosi niski poziom krajowych sporów politycznych do Waszyngtonu. Przekonałem się o tym w okresie konfliktu zbrojnego w Libii. Gdy w marcu 2011 r. Sikorski był w drodze do Waszyngtonu, poseł PiS Karol Karski zażądał od polskich władz oficjalnego uznania rządu tymczasowego stworzonego przez libijską opozycję. Tuż po przybyciu ministra do stolicy USA zapytałem go o ten postulat. Ku mojemu zaskoczeniu zamiast merytorycznej reakcji Sikorski odpowiedział zaczepką: „Myślę, że wpływ posła Karskiego na wydarzenia w rejonie Morza Śródziemnego byłby większy, gdyby załatwił sprawy związane z własnymi wojażami na Cyprze”. W ten sposób nawiązał do incydentu, w którym posłowie Karski i Zbonikowski zniszczyli wózki golfowe, jeżdżąc nimi po pijanemu w cypryjskim ośrodku wypoczynkowym. Do wypowiedzi Sikorskiego podszedłem ze zrozumieniem, gdy uświadomiłem sobie, że dopiero wysiadł z samolotu i nie przestawił się jeszcze na amerykańskie standardy. W kolejnych dniach minister zachowywał się już po amerykańsku, czyli z klasą, i jak zwykle doskonale prezentował się na spotkaniach i konferencjach.

Inni polscy politycy podczas pobytu w Waszyngtonie wypadali i wypadają poprawnie — bez fajerwerków, ale też bez poważniejszych wpadek. W nawiązaniu bezpośrednich relacji z obecnym prezydentem USA Bronisławowi Komorowskiemu, a wcześniej Lechowi Kaczyńskiemu przeszkadza nie tylko ich słaba znajomość angielskiego, ale również osobowość samego Baracka Obamy, który nie jest skłonny do „kumplowania” się z innymi przywódcami. Nie ma to jednak większego wpływu na stosunki polsko-amerykańskie i na tzw. dialog strategiczny pomiędzy oboma krajami, który nie wiadomo do końca, co oznacza, ale daje nam poczucie, że jesteśmy ważni.

BO ON NAS NIE SZANUJE

Stosunki polsko-amerykańskie ostatnich lat cechują liczne zgrzyty, które w Polsce skutkują rozczarowaniami, urazami i powszechnym poczuciem, że Stany Zjednoczone traktują nas instrumentalnie. Niektóre z tych zgrzytów wynikają z niewłaściwej interpretacji zachowań Amerykanów i przykładania do ich postępowania polskiej miary. Przykładem takiej sytuacji była wrzawa mediów i polityków po tym, jak Barack Obama zmienił plany budowy tarczy antyrakietowej w Europie. Jednym z głównych problemów okazał się fakt, że swoją decyzję Amerykanie przekazali nam 17 września 2009 r., czyli w 70. rocznicę wkroczenia wojsk radzieckich do Polski. Prezes PiS Jarosław Kaczyński nie miał wątpliwości, że datę tę Amerykanie wybrali celowo, by „uczynić Polsce despekt” i nadać tej decyzji „nieprzyjemny charakter”. Winą za takie zachowanie Amerykanów Kaczyński obarczył Donalda Tuska. Kazimierz Marcinkiewicz uznał działanie Waszyngtonu za afront, choć starał się usprawiedliwić premiera, twierdząc, że nie była to jego wina, tylko skutek „serwilistycznej polityki Millera i Kwaśniewskiego wobec Amerykanów”. O nietakcie i policzku ze strony Białego Domu mówili też publicyści, a jeden z komentatorów użył nawet określenia „zdrada”. Prawie nikomu nie przyszło do głowy, że Amerykanie mogli zwyczajnie nie mieć pojęcia, że 17 września wypada tak ważna rocznica dla Polaków. Trzeba bowiem pamiętać, że urzędnicy Białego Domu zajmują się codziennie setkami spraw i nie są w stanie weryfikować każdej daty. Poza tym decyzję o zmianie projektu tarczy antyrakietowej знаła tylko

niewielka grupa doradców prezydenta USA i wysokich rangą urzędników resortu obrony oraz Departamentu Stanu, co zmniejszyło szansę na to, że ktoś skojarzy planowaną datę przekazania Polakom informacji o tarczy ze zbliżającą się rocznicą. Warto również uświadomić sobie, że choć w naszym kraju rocznica 17 września była znaczącym wydarzeniem, to w amerykańskich mediach nie padło na ten temat ani jedno słowo. Ja sam uświadomiłem sobie, że doszło do wpadki dopiero, gdy na polskich stronach internetowych przeczytałem komentarze na ten temat.

W całej sprawie jest jeszcze jeden ważny element, który został przeoczony. Otóż Amerykanie mają zupełnie inne podejście do rocznic niż Polacy. W naszym kraju o planach obchodów ważnych, a szczególnie tzw. okrągłych rocznic zaczyna się mówić kilka tygodni wcześniej. Władze informują o programie obchodów i liście zaproszonych gości. Potem następują kłótnie polityków, co wywołuje gorącą dyskusję w mediach. Jedni drugich nazywają zdrajcami, inni mówią o niegodziwości, jeszcze inni ogłaszają bojkot. Pojawiają się plany alternatywnych obchodów i manifestacji. Następnie przedmiotem wnikliwych analiz staje się lista delegacji zagranicznych oraz ich ranga. Trzeba bowiem ustalić, kto wyraził należny nam szacunek, a kto nas zignorował. Po zakończeniu obchodów media przynoszą informację o tym, jak polskie obchody relacjonowano za granicą i czy w innych krajach zostały one zauważone. Równocześnie następuje analiza tego, jak świętowaliśmy, kto zrobił to godnie, a kto zszargał pamięć przodków i wystawił nam złe świadectwo wobec świata.

Z polskiej perspektywy Amerykanie w obchodzeniu rocznic są odrobinę... niedorozwinięci. Mają co prawda dni: Pamięci, Weteranów, Kolumba, Martina Luthera Kinga, a także Święto Pracy i Dzień Niepodległości, ale zazwyczaj obchodzą je, organizując parady, czyny społeczne, koncerty, pokazy sztucznych ogni i weekendowe wyjazdy. Przy okazji Dnia Pamięci (ang. *Memorial Day*) wbijają w ziemię amerykańskie flagi przy grobach poległych żołnierzy, oddając w ten sposób hołd swoim bohaterom, ale są to flagi bardzo małe. Nie organizują też centralnych uroczystości. Zamiast tego wskakują w stroje kąpielowe, ponieważ tego dnia w wielu rejonach USA otwierane są baseny. Może się to wydać szokujące, ale na liście świąt państwowych w Stanach Zjednoczonych nie ma żadnej rocznicy kłęski narodowej. Amerykanom nie przychodzi też do głowy, by na obchody

swoich rocznie zapraszać zagranicznych przywódców. Prezydenci USA biorą czasem udział w uroczystościach za granicą, ale zdarza się to bardzo rzadko. Z tego punktu widzenia niesprawiedliwe były pojawiające się w Polsce głosy krytyki, gdy Barack Obama nie przybył do Gdańska na obchody 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Ci, którzy poczuli się wówczas urażeni, powinni wziąć pod uwagę, że w grudniu 2011 r. ani Barack Obama, ani żaden z ważnych ministrów jego rządu nie pofatygował się do Honolulu na obchody 70. rocznicy japońskiego ataku na Pearl Harbor. Przedstawiciele rządu federalnego i głównych partii politycznych nie pojechali też na obchody 250. rocznicy rozpoczęcia wojny secesyjnej do Charleston w Karolinie Południowej. Co ciekawe, w USA nikt nie miał o to do prezydenta pretensji, bo Amerykanie mają zupełnie inne podejście do rocznic niż Polacy.

Innym powodem nieporozumień polsko-amerykańskich jest sprawa zniesienia wiz dla Polaków. Przez lata była ona powodem frustracji i argumentem dla przeciwników proamerykańskiej polityki kolejnych polskich rządów. W pewnym momencie wizy stały się najważniejszym tematem w dyskusji na temat stosunków polsko-amerykańskich, przesłaniając dużo istotniejszą kwestię sojuszu politycznego pomiędzy oboma krajami.

Postulat, by Polacy mogli swobodnie podróżować do USA, pojawił się równocześnie z poparciem Polski dla polityki Busha wobec Iraku i wysłania przez Polskę kontyngentu wojskowego do tego kraju. Zniesienie wiz miało być nagrodą za nasz udział w tej wojnie i dowodem na to, że deklaracje Amerykanów, iż Polska jest jednym z najbliższych sojuszników USA, nie są tylko pustymi słowami. Zarówno media, jak i politycy domagający się zniesienia wiz nie zdawali sobie jednak sprawy, że nie jest to takie proste. Pierwotne propozycje przyłączenia samej Polski do Programu Ruchu Bezwizowego (ang. *Visa Weaver Program*) były niemożliwe do zrealizowania, bo z jakiej racji Kongres miałby znieść wizy tylko dla nas, a pominąć innych sojuszników USA, którzy również wysłali do Iraku swoje wojska. Poza tym amerykańskie standardy ustawodawcze nie pozwalają na przyjmowanie ustaw, które są bublami prawnymi, a takimi właśnie bublami były projekty zgłaszane przez kongresmanów pod presją środowisk polonijnych. Sprowadzały się one do stwierdzenia, że Polska jest wiernym sojusznikiem USA i dlatego należy znieść wizy jej obywatelom. Nic więc dziwnego, że projekty te umierały śmiercią naturalną w komisjach Senatu lub Izby Reprezentantów.

Administracji Busha zależało jednak na włączeniu Polski do Programu Ruchu Bezwizowego i dlatego powstał pomysł, by złagodzić zasady tego programu dla większej grupy państw przy zachowaniu jakichś obiektywnych kryteriów. W 2006 r. w Estonii George W. Bush ogłosił, że zaproponuje zmiany w Programie Ruchu Bezwizowego, tak by mogli do niego zostać włączeni sojusznicy USA.

Do Programu Ruchu Bezwizowego kwalifikują się tylko te kraje, które mają niski wskaźnik (odsetek) odmów wydania wizy ich obywatelom przez amerykańskie konsulaty. Górny pułap tych odmów został ustalony przez Kongres na 3%. Jeśli więc urzędnicy konsularni odmawiają wizy co dwudziestemu obywatelowi danego kraju składającemu wniosek o wizę, to kraj ten ma wskaźnik odmów na poziomie 5% i nie może wejść do Programu Ruchu Bezwizowego. Jeśli amerykańskiej wizy nie dostaje jeden na 100 składających wniosek, to wskaźnik odmów wynosi 1% i jest podstawą do zakwalifikowania danego kraju do programu. Problem z sojusznikami USA z Europy Wschodniej polegał na tym, że miały one wskaźnik odmów wydania wizy powyżej 3%, więc włączenie ich do Programu Ruchu Bezwizowego byłoby niezgodne z prawem. W 2007 r. Kongres USA podniósł dopuszczalny pułap odmów do 10%, co otworzyło drzwi do programu siedmiu krajom: Czechom, Estonii, Węgrom, Łotwie, Litwie, Słowacji, a przy okazji Korei Południowej. Ale Polska miała wtedy odsetek odmów na poziomie 13% i musiała jeszcze poczekać na spełnienie tego kryterium. Wszystko było jednak na dobrej drodze, ponieważ wskaźnik odmów spadał z roku na rok. Niestety, przyjęta przez Kongres ustawa zawierała zapis zmuszający rząd USA do stworzenia systemu elektronicznej rejestracji wszystkich osób opuszczających Stany Zjednoczone, pod groźbą ponownego przywrócenia ostrzejszych kryteriów. A ponieważ takiego systemu rejestracji, z różnych powodów, nie udało się stworzyć, to otwarte szerzej drzwi do Programu Ruchu Bezwizowego zostały znów przymknięte (dopuszczalny pułap odmów wizowych powrócił do 3%). Tak więc nie niechęć amerykańskiej administracji, ale niekorzystny zbieg okoliczności zdecydował, że Polska pozostała jedynym krajem Unii Europejskiej, dla którego wciąż obowiązują wizy do Stanów Zjednoczonych. Administracja Baracka Obamy szuka sposobu na zniesienie wiz dla Polaków, co prezydent USA obiecał podczas wizyty Bronisława Komorowskiego w Waszyngtonie w 2010 r. Być może wkrótce

ta sprawa będzie już załatwiona, bo administracja obecnego prezydenta USA pracuje z Kongresem nad przyjęciem odpowiednich rozwiązań prawnych. Może się jednak również zdarzyć, że Kongres z jakichś powodów nie zaakceptuje tych rozwiązań, a prezydent USA nie ma wystarczającej władzy, by zmusić do tego parlamentarzystów. Warto pamiętać, że w Polsce premier, który dysponuje większością parlamentarną, może przeforsować dowolną ustawę. W USA prezydent ma często kłopoty z doprowadzeniem do przyjęcia ustaw, które uważa za priorytetowe, nawet wtedy, gdy jego partia kontroluje obie izby parlamentu.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA



Helion SA

Ameryka w oczach (i uszach) korespondenta Polskiego Radia

Światowe supermocarstwo czy kolos na glinianych nogach? Ostoja wolności i demokracji czy dżungla, w której ludzie sami wymierzają sprawiedliwość? Przystań dla imigrantów czy miejsce, gdzie przybysze z zagranicy są obywatelami drugiej kategorii? Neutralne światopoglądowo państwo czy kraj fanatyków religijnych? Jakie naprawdę są Stany Zjednoczone? I jacy są Amerykanie? Inteligentni, życzliwi, otwarci, bezpośredni i optymistyczni? A może niedouczeni, zarozumiali, ograniczeni, nietolerancyjni i arogancy? Otwarci na świat czy zaściankowi? Pewni siebie czy zakompleksieni?

Oddajemy w ręce Czytelnika książkę Marka Wałkuskiego, dziennikarza radiowej Trójki i wieloletniego korespondenta Polskiego Radia w Waszyngtonie. W charakterystyczny dla siebie dowcipny i przenikliwy sposób autor opowiada o życiu w Stanach Zjednoczonych i specyfice tego wielkiego kraju, z jego ogromną powierzchnią, liczbą mieszkańców, różnorodnością kulturową, kontrastami społecznymi i wyzwaniem, jakie Америка stawia przed przybyszem z Europy.

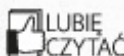
Zamiast łatwego krytykowania Stanów Zjednoczonych Marek Wałkuski stara się, aby odbiorca zrozumiał Amerykę. Piszcie ciekawie, ale nie ogranicza się do samych ciekawostek. Przelamuje stereotypy na temat Amerykanów i ich kraju. Patrzy na USA z życzliwością i nie wierzy w ogłaszany przez wielu „mędrców” schyłek Ameryki.



Zatem... jak to robią w USA?

- Przeciężny Smith
- Patriotyzm
- Po co im broń
- Język amerykański
- Światowe mocarstwo
- Amerykańska wolność
- Muzyka country
- Samochody i kierowcy
- Tygiel etniczny
- Napięcia rasowe
- Religia
- Charakter narodowy
- Америка a sprawa polska

PATRONI WYDANIA:



Cena: 44,90 zł

ISBN 978-83-246-6389-7



9 788324 663897



editio

Hellon SA
ul. Kościuski 1c, 44-100 Głitwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>